



BYDGOSZCZ

O ANGELICE Z BYDGOSKIEGO ZAMKU

Piękna Angelika spoglądała przez okienko bydgoskiego zamku, należące do jej ojca Carolusa i dumiała nad swym smutnym losem. Przyczyną przygnębienia był właśnie ojciec. Kochała go bardzo, ale uważała za złego człowieka. Bowiem jak usprawiedliwić rozboje, dokonywane przez niego i podległych mu złoczyńców na bydgoskim trakcie? Iluż nieszczęśników „gościły” lochy bydgoskiego zamku? A przecież Carolusowi na niczym nie zbywało: podległa mu ludność regularnie płaciła daniny, spiżarnie księcia wypełnione były po brzeży zapasami, w piwnicy dwoiło się, a nawet troiło w oczach od rozmaitych trunków. Niekiedy Angelika w stroju żebraczym wędrowała wśród okolicznych chat i serce jej pękało ze zgryzoty, gdy zewsząd słyszała: – Okrutny ten Carolus, ciemiężca. On serce ma z kamienia.

W jakim celu wyruszała na tak bolesne dla jej wrażliwej natury wyprawy? Ano po to, by zobaczyć, którym z poddanych jej bezwzględne go ojca dzieje się najgorzej. Pomagała im jak mogła – za pośrednictwem wiernego sługi przekazywała jedzenie lub odzienie. Chociaż była księżniczką, sama nie posiadała zbyt wiele, gdyż ojciec nawet wobec ukochanej jedynaczki, nie wykazywał szczodrości.

– Gdy wyjdiesz za mąż, wtedy hojnie cię wyposażę – zapewniał.

Któregoś dnia na bydgoskim trakcie pojawił się syn nakielskiego księcia

– Jarosław. Carolus już wcześniej otrzymał wiadomość od swoich zaufanych ludzi, że oto nadarzy się okazja, by uzyskać olbrzymi okup. Nie było przecież tajemnicą, że nakielski książę gorąco kocha swojego jedyne go syna i nie ma takiej ceny, której za niego nie zapłaci. Przygotowana przez Carolusa zasadzka przyniosła spodziewany rezultat. Biedny Jarosław wtrącony został do strasznych, zamkowych lochów, a Carolus śmiał się szyderczo: – Ciekawe, ile dla twojego tatusia warta jest twa główka?

Słyszała też ten śmiech Angelika, która bezskutecznie próbowała go zagłuszyć, zatykając sobie uszy palcami. Tej nocy z wiernym sobie sługą zeszła do lochów. Zniosła uwięzionemu posiłek, którego sama nie zjadła. Czyniła tak przez kolejne noce. Młodzi zakochali się w sobie.

– Wydostanę cię stąd. Niech tylko nastanie bezksiężycowa noc, a mój wierny Spytko obejmie straż przy bramie – szeptała dziewczyna.

Tak też się stało. Angelika wyprowadziła ukochanego ze straszliwych podziemi, a przy pożegnaniu z nim usłyszała:

– Angeliko, wróć po ciebie i zabiorę stąd...

Nazajutrz, gdy Carolus dowiedział się, że więzień zniknął, jego wściekłość nie miała granic! Chciał ukarać śmiercią wszystkich podejrzanych o udział w ucieczce Jarosława. Wtedy Angelika wyjawiała ojcu: – To ja jestem winowajczynią. Możesz mnie najsurowiej ukarać! Ale tego Carolus uczynić nie mógł, bo córka była jedyną w jego życiu istotą, którą kochał.

Pewnego dnia ujrzał Carolus przez okno zamkowe zbliżającą się grupę jeźdźców, na czele której rozpoznał swego dawnego więźnia Jarosława. Domyślił się, w jakich zamiarach przybywa to nakielskie książętko – najpewniej po jego Angelikę! Natychmiast wysłał, będących pod jego rozkazami, wojowników, by rozprawili się z intruzami. Ale bój toczony pod murami zamku nie przyniósł rozstrzygnięcia. Rycerze Jarosława byli w natarciu. Walka przeniosła się na dziedziniec zamkowy. Swoją odwagą Jarosław dawał przykład przybyłym z nim wojownikom. Nagle na dziedzińcu pojawił się niezwykle rycerz. Był odziany w czarny płaszcz, na głowie miał hełm,

a twarz przykrywała przyłbica. Wszyscy rozstąpili się przed nim, wszyscy z wyjątkiem Jarosława. Zaczął się pojedynek. Książę nakielski walczył dzielnie, jednak brakowało mu doświadczenia. Widać było, że jego przeciwnik to człowiek zaprawiony w bojach. W pewnej chwili czarny rycerz wymierzył celny cios – Jarosław nieczym rażony piorunem zsunął się martwy na ziemię. Z ust jego chlusnęła krew.

– Neeee!!! – powietrze przeszył pełen bólu krzyk. To Angelika, będąca świadkiem śmierci ukochanego, wyraziła swoją rozpacz. W okamgnieniu wyrwała, stojącemu obok niej, rycerzowi jego miecz i przebiła nim mordercę ukochanego. Tamten zwał się na ziemię. Wtedy Angelika podniosła mu przyłbicę. Zrobiło jej się ciemno w oczach... To niemożliwe... To ojciec!

Z okrzykiem przerażenia przebiegła przez zamkowy dziedziniec, a potem bramę. Nie mogła złapać tchu, a jednak nie ustawała w ucieczce. Nie wiadomo, ile upłynęło czasu, nim ujrzała przed sobą spokojnie płynące wody Brdy. Szepnęła: – Rzeka, otwórz przede mną swoje ramiona... Skoczyła, a chwilę później woda znowu zrobiła się gładziuteńka.

Angelika powraca do bydgoskiego grodu w postaci Białej Damy. Siada na ławeczce nad Brdą, gdzie – zastygłe w kamiennej rzeźbie – stoją trzy bydgoskie kumoszki. Spogląda na spichrze, most i „Przechodzącego przez rzekę”. Podoba jej się miasto. Potem powoli wstaje, podchodzi do swojej wiernej rzeki i cichutko nuci pieśń przywołującą wspomnienia dawnych wydarzeń. ♦



Wód swoich przyjazne ramiona,

Na głowę mą zarzuć mi rzeko,
Bo w nich się czuję bezpiecznie,
A troski odchodzą daleko...



BYDGOSZCZ

O DOBREJ RZECZCE BRDZIE

Matyjaska lubili wszyscy mieszkańcy tej nadrzecznej osady. Był to chłopak pracowity i skory do pomocy. Osada była nieduża, kilka chat licząca. Narzekano na niedostatek mężczyzn, bo jednego roku trzech młodych pomarło, a każdy z nich gromadkę dzieci pozostawił. Kobiety uwijały się w robocie, jak mogły, ale niektórym pracom nie były w stanie podolać. Stąd też pomoc Matyjaska była bezcenna. Nie miał już on ani rodziców, ani brata, ani siostry, jedynie kilku krewniaków. Jak tylko sięgano pamięcią wstecz, Matyjasek zawsze mocno się jękał, nikt jednak z tego powodu mu nie dokuczał. Jego ulubionym zajęciem było łowienie ryb. Siedząc nad rzeką na przyniesionym z lasu pieńku, czekał na Hankę. Wiedział, że dziewczyna, prędzej czy później, pojawi się tam, by przeprać swoje płóciennie fatalaszki. Widział, jak przegląda się przy tym w wodzie i uśmiecha do swojego odbicia. Trudno się temu dziwić, bo Hanka rzeczywiście była urodziwa. Złocisty warkocz opadał jej do pasa, niebieskimi jak poranne niebo oczami zerkiała zalotnie w stronę młodzieńca, a czerwone jak malina usta rozchylały się w uśmiechu.



– I jak tam, Matyjasku, ryba bierze? – pytała wesoło, choć tak naprawdę wcale nie interesowała ją odpowiedź.

– Taaak, jaak zaaawwwszsze... – Matyjasek czuł, że w takiej chwili jąka się jeszcze bardziej niż zwykle.

Hanka tymczasem wyciągała z kosza swoje szatki. Każdą z nich płukała długo w rzece, a potem, dla osuszenia, uderzała kijanką. „Zaraz sobie pójdzie” myślał zmartwiony Matyjasek. Dziewczyna oparłszy kosz na biodrze, skinęła mu ręką na pożegnanie. Jednak przeszedłszy parę kroków, zatrzymała się jeszcze i zagadnęła chłopca:

– A pomożesz mi Matyjasku jabłek nazbierać?

Twarz zapytanego rozpromieniła się.

– Pooommoogę, pooommmmoogę.

Minął jakiś czas i Hanka z Matyjaskiem zostali małżeństwem. Chłopak zawsze powtarzał, że połączyła ich „ta dobra rzeka”.

Pewnego dnia w osadzie pojawił się nieznany jeździec. Było to wielkie wydarzenie dla mieszkańców, dlatego wszyscy wyszli z chat. Tymczasem przybyły, zsiadłszy z konia, spoglądał na nich ze zdumieniem.

– A wy tu sobie ludzie tak spokojnie żyjecie?

– Ano żyjemy. A czemu by nie?

– Nie wiecie, co się stało? Rzeki wszędzie powylewały. Ludzie i zwierzęta potopili się, pola i chaty pod wodą... Wielkie nieszczęście, tylko wam nic złego się nie przytrafiło.

I wtedy wszyscy mieszkańcy osady spojrzeli ku rzece, która im nigdy nie wyrządziła żadnej krzywdy. Łzy wdzięczności pojawiły się w wielu oczach. A Matyjasek wzruszonym głosem, jękając się jeszcze bardziej niż zwykle, powiedział:

– Ddddbbbbrrrraaaa taa nnnnaaszaa rrrzeekkkaaa...

I odtąd Dobrą ją nazywano. Ale przez lata poprzestawiano w nazwie literki i stała się ona Brdą. ♦

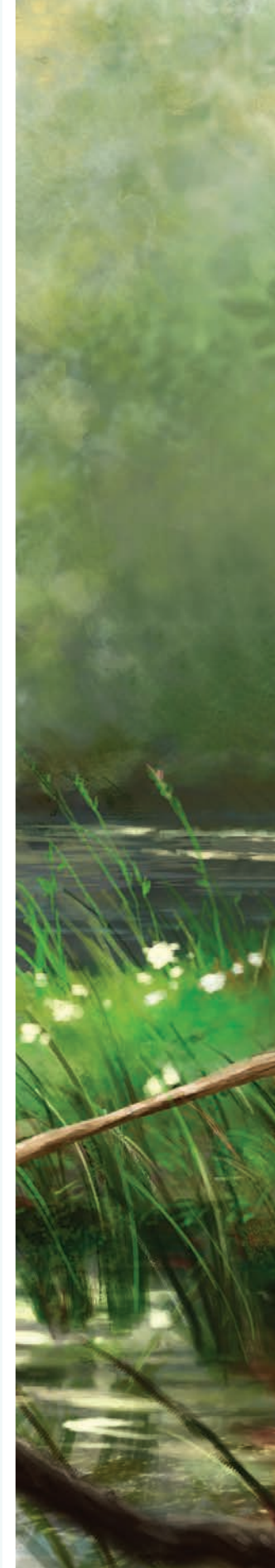


Szczęśliwe jest miasto, co nad rzeką leży,

Bo oprócz urody, historie barwne ma.

Kto nie był w Bydgoszczy, niechaj tutaj bieży,

Wierna rzeka grodu nazywa się Brda.





BYDGOSZCZ

O MISTRZU TWARDOWSKIM W BYDGOSZCZY

Wielką sławę zdobył w całej Rzeczypospolitej, a nawet poza jej granicami, mistrz czarnej magii – imię pan Twardowski. I trudno się temu dziwić, bo jego sztuczki wprawiały ludzi w osłupienie. Potrafił na przykład żołnierza zamienić w zająca, albo z głowy pewnego szewca wycisnąć pół beczki mocnego trunku. Ludzie powiadali, że wezwał go do siebie sam król Zygmunt August i prosił, by Mistrz wywołał ducha ukochanej żony Barbary, która kilka lat wcześniej w strasznych męczarniach opuściła ziemski padół. I ponoć Twardowski tego dokonał!

– Pewnikiem duszę diabłu sprzedał – powtarzano wszędzie.

Ale, że nadludzką moc posiadał, gdziekolwiek się pojawił, witały go tłumy. Bo czy jest na ziemi choćby jeden człowiek, którego jakieś zmartwienie nie trapi? A Mistrz Twardowski każdej trosce zaradzi. Nic więc dziwnego, że kiedy pewnego, wiosennego dnia 1560 roku w grodzie bydgoskim gruchnęła wieść, że Mistrz Twardowski przybywa, wielkie się zrobiło poruszenie. Zastanawiano się, jak wizyta tego wielkiego czarnoksiężnika ma wyglądać. Czy każdy bydgoszczanin stanie przed jego obliczem, czy sprawy, którymi Mistrz miałby się zająć, należy spisać na papierze?

– Ale przecież tylu w naszym grodzie niepiśmiennych, ja także – biadolił zdun Zbych.

– Słuchajcie ludziska – odezwał się szewc. – Gdym jeszcze czeladnikiem był i w Kaliszu sztukę szewską doskonalił, do miasta onego również imię Twardowski przybył. Miał on u swego boku, takie jakby diablątka, Węgliszka i Smółkę. Oni to wszystkie spisane na papierze troski zbierali, a potem Mistrzowi przedkładali.

Zaczęto więc gorączkowo poszukiwać pisarzy, których sakiewki za czynione usługi dostały pokaźne „brzuszeki”. Gdy burmistrz obwieścił, że Twardowski jest tuż, tuż, miejski rynek zaległy niezliczone tłumy. Najpierw od strony ulicy Mostowej pojawiły się dwie dość dziwaczne istoty. Przez tłum przeszedł szept, że to Węgliszek i Smółka. I rzeczywiście, to byli oni. Pomocnicy Twardowskiego sprawnie przeciskali się między ludźmi.

– Czy będzie można z Mistrzem spotkać się osobiście? – spytał nieśmiało jakiś drobny człowieczek.

– Osobiście spotkać się z Mistrzem może burmistrz, czyli ja – głos mówiącego był tubalny, a trzymany w dłoni łańcuch, symbol władzy nad miastem, czynił go jeszcze bardziej dostojnym.

Jednakże Węgliszek spojrzał życzliwym okiem na człowieka zadającego pytanie i zapewnił, że jego pan zaprosi na osobistą audiencję kilkoro mieszkańców grodu, tych niezamożnych, bo bardzo nie lubi – tu znacząco spojrzał na burmistrza – gdy ktoś, z racji sprawowanego urzędu, nadmiernie zadziera nosa.

Wreszcie zjawił się on. Siedział na kogucie o złotym dziobie, ubrany w kontusz przepasany wybijanym cekinami pasem. Uśmiechał się szeroko do bydgoszczan.

– Witajcie, witajcie! Zaraz zaradzę waszym troskom, ale najpierw muszę coś przekazać.

Gdy tylko znalazł się w stojącej na rynku karczmie, jej właściciel, wykorzystując fakt, że gości u siebie niezwykle człowieka, podając mu najsmakowitsze jadło, jednocześnie biadolił:

– Od lat staram się u władz miasta o pozwolenie na powiększenie mojego szynku i nie w tej sprawie nie mogę wskórać.

– Nie przejmuj się – pocieszył go Mistrz, ocierając rękawem ściekający po brodzie tłuszcz z wyśmienitej pieczeni. – Ja ci wystawię odpowiedni głęjt.

Zachwycony karczmarz podał Twardowskiemu papier, pióro i inkaust. Gość sporządził odpowiedni dokument, po czym pożegnał gospodarza i udał się na rynek.

– Pokaż Węgliszku, jakie smutki trapią tych dobrych ludzi? Diabełek podał mu cały stos karteczek. – Co my tu mamy? „Ja kocham Józka, a on mnie nie. Hanka”. No to już kocha! Dalej: „Moja sąsiadka powinna mieć wszystkiego dwa razy mniej niż ma, bo jej się to co ma wcale nie należy! – Grzechu”. Tę kartkę Mistrz z obrzydzeniem odrzucił. – Faj, coś to za paskudny donos – westchnął. Mijały godziny, a Twardowski czytał i czytał. Wreszcie klasnąwszy w ręce, zawołał:

– Węgliszku! (zawsze wołał go od Smółki) – Może teraz przyjmę kogoś osobiście?

– O, tak – ucieszył się pomocnik. – Poznałem takiego człowieczka, który wzbudził mą sympatię – przywołam go zaraz.

I wkrótce zjawił się ów skromny człeczek, który na rynku zamienił z Węgliszkiem kilka słów.

– Z jaką sprawą przybywasz?

– Panie – zaczął nieśmiało przybysz. – Byłem ja kiedyś bogaty. Niestety, w wyniku złych życiowych wyborów straciłem cały majątek. Czy jest jakiś sposób na jego odzyskanie?

– Tak – odrzekł z całą mocą zapytany. – Czyń wszystko według moich wskazówek: przed północą idź do lasu mając w kieszeni 10 jedno groszówek. Znajdź tam starą chatę, wejdź do niej. Usiądź na zydelku i do pierwszego piania koguta licz grosze: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, a potem: 10, 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1. Pamiętaj, złe moce z Lucyferem na czele, będą cię kusić, ale ty nie przerywaj czynności. Jeśli zrobisz wszystko tak, jak ci każę, to majątek do ciebie powróci.

Uradowany człowieczek serdecznie podziękował Mistrzowi, tym bardziej, że wyznaczone przez niego zadanie wydawało mu się łatwiutkie. Tuż przed północą poszedł do lasu, odnalazł chatę, zasiadł w niej na niezbyt wygodnym stołeczku i zaczął liczyć, wyciągnięte z kieszeni grosze: 1, 2, 3... Mijały godziny. Nagle ujrzał stojącego na progu Twardowskiego. Zdumiał się niezmiernie.

– I jak tam, liczysz? – spytał przybyły.

– Ano liczę! – brzmiała odpowiedź.

– A nie pomyliłeś się?

– Nie.

– No to licz dalej!

I już Twardowskiego nie było. Człowieczek tymczasem chciał kontynuować liczenie, gdy nagle uświadomił sobie, że nie pamięta, na której liczbie skończył. I już sobie nie przypomniął. Majątku nie odzyskał. Został w klasztorze karmelitów furtianem, to znaczy, że furtę klasztorną otwierał i zamykał. Mistrz Twardowski, w ciągu swojej trzytygodniowej obecności w grodzie nad Brdą, niejednego dokonał. Burmistrz poprosił go, aby Mistrz ujął mu jakieś 20, a może 30 latek...

– Mam piękną i młodą żonę – tłumaczył. – Spogląda ona czasem na mnie tak, jakby ojca miała przed sobą!

Życzenie to dla sławnego czarnoksiężnika było drobiazgiem. Trzask-prask i zniknęły zmarszczki z twarzy włodarza miasta. Na niedawno zupełnie łysej głowie wyrosła gęsta, czarna czupryna. Ale burmistrzowa nie rozpoznała swojego męża. Do domu wpuścić go nie chciała i chociaż niektórzy mówili potem, że ostatecznie dała wiarę w przemianę, jednak chyba nie do końca.

Niezbyt szczęśliwie na wstawiennictwie Mistrza wyszedł, wspomniany wcześniej, karczmarz. Owszem, mając odpowiedni dokument, rozbudował swoją karczmę, ale gdy przybył ksiądz, by ją poświęcić, kapka święconej wody padła na ów głąt, co wywołało pożar. Nowa część szynku spłonęła, a stara pozostała i od-tąd „Pod Zgorzelcem” ją nazywano. Po dziś dzień w murach tych rozbrzmiewają wesołe głosy gości w restauracji pod zmienioną już nazwą „Karramba”.

A co stało się z Twardowskim? Gdy przez nieuwagę swoją znalazł się kiedyś w podbydgoskiej karczmie „Rzym”, porwał go stamtąd Lucyfer. Bronił się dzielnie, jednak diabeł wyciągnął go przez komin i do piekła chciał porwać. Twardowski zaczął wówczas rozpaczliwie wzywać na pomoc Matkę Boską. Najświętsza Paniienka ulitowała się nad grzesznikiem, wyrwała z diabelskich łap, ale do raju wpuścić nie chciała mówiąc:

– Na niebo nie zasłużyłeś, bo miałeś konszachty z mocami nieczystymi. Twoim domem stanie się... księżyc – i tam go zesłała. ♦

Jeździł Twardowski po całym świecie,

Miastach, miasteczkach i wielu wsiach.

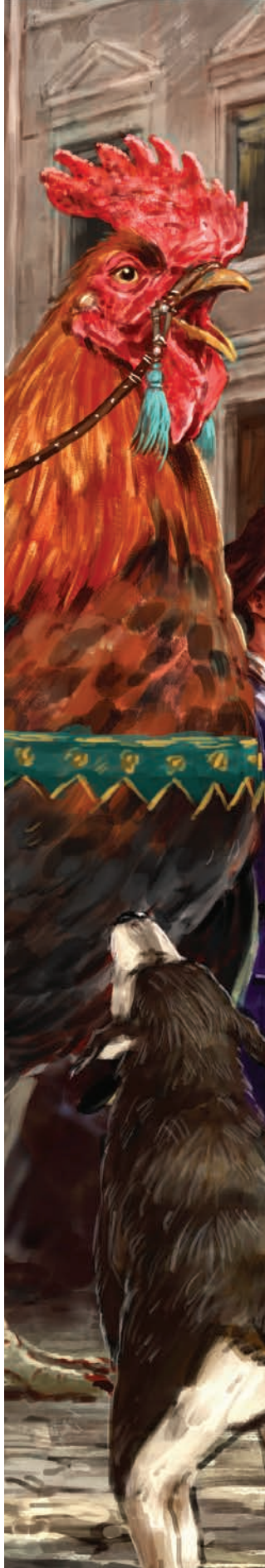
Gdy na księżycu zamieszkał wreszcie,

Jedno on miejsce w swej pieczy ma.

Bydgoszcz! Jedyny to polski gród,
W którym codziennie, a nawet w święta,

Na Starym Rynku przez chichot swój,

Mistrz pokazuje, że o nim pamięta.





DUCH BERNARDA SZUMBORSKIEGO W CHEŁMIŃSKIEJ BASZCIE

Gdy nieszczęsną decyzją księcia Konrada Mazowieckiego, Krzyżacy w I połowie XIII wieku osiedlili się na polskiej ziemi, za sprawą podbojów i pod pretekstem szerzenia chrześcijaństwa, to utworzyli silne, dobrze zorganizowane państwo. Trzeba przyznać, że byli oni bitni i na wielkich koniach, z pieśnią na ustach najczęściej pokonywali przeciwnika. Swoją stałą gotowość do walki podkreślali słowami: Krzyżak nigdy nie zsiada z konia.

Jednak z upływem czasu odechciało im się wojować. Zdobyte bogactwa, regularnie ściągane z podbitej ludności daniny, zapewniały im dostatnie życie. Odeszli od zakonnej reguły, hulali, a swą militarną siłę oparli na wojsku najemnym. Tak też się działo podczas wojny trzynastoletniej, która toczyła się między Polską, a państwem krzyżackim od 1454 roku. W szeregach zaciężnych wojsk zakonu znalazł się pewien rycerz – Bernard Szumborski. Zasłynął on z odwagi już w początkach wojny i przyczynił się do zwycięstwa Krzyżaków pod Chojnicami.

24 września 1457 roku, na czele dwóch tysięcy zaciężnych, opanował Chełmno, które wcześniej na krótko uwolniło się spod krzyżackiego buta. Ogłosił się starostą



miasta, a dotychczasowego włodarza Chełmna – Michała Segemundę, rozkazał poćwiartować. Wkrótce opanował kilka innych miast ziemi chełmińskiej.

Krzyżacy zalegali z wypłacaniem żołdu, w związku z czym Szumborski i jego żołnierze bezwzględnie wyzyskiwali podbitą ludność. Polityka okrutnego starosty doprowadziła Chełmno do ruiny. Pomimo podpisania w 1466 roku w Toruniu pokoju polsko-krzyżackiego, mocą którego ziemia chełmińska powracała do Polski, Szumborski wcale nie zamierzał opuszczać miasta, w którym wciąż prowadził hulaszcze życie. Chełmnianie straszliwie bali się okrutnika i kurezyli pod nienawistnym spojrzeniem jego lodowatych oczu. Towarzyszyła mu zawsze kompania potężnych drabów. Jeden z nich miał dłonie, przy których łopata zdawała się być łyżeczką.

Był późnojesienny dzień, gdy Szumborski w otoczeniu swych kompanów wkroczył na chełmiński rynek. Odbywał się tam właśnie targ, zgłębł panował więc wielki. Gdy tylko ludzie ujrzeni tak dobrze znaną postać, wszystko zamarło. Nawet pies nie zaszczekał, kot nie zamiauczał, koń nie zarżał. Szumborski uwielbiał tę atmosferę wszechobecnego strachu. Szedł pierwszy, a za nim jego draby. Przesuwał groźne spojrzenie po kupcach, przekupkach, rzemieślnikach i wieśniakach przybyłych spod chełmińskich wsi, by sprzedać jaja, owoce, marchew i inne produkty rolne. Tym samym wzrokiem spoglądał na dzieci, dziewczyny i kobiety. Lecz nagle... Kto to? Stał, nie mogąc oczu oderwać od jasnowłosej, niebieskookiej piękności: Co za lica... – pomyślał w zachwycie – a usta! Chyba maliny na nich wyrosły? I zdało mu się, że poczuł zapach i smak owych malin, którymi w czasach dzieciństwa karmiła go matka. Dziewczyna patrzyła na niego śmiało. Nie było w tym spojrzeniu nic z uniżoności ani lęku, tego co przez lata oglądał w tysiącach ludzkich oczu. Odwrócił się gwałtownie i nie patrząc już na nikogo, opuścił rynek. Tej nocy nie zmrużył oka, następnej również. Wciąż widział tamte usta, chabrowe oczęta, warkocz spleciony jakby ze złotych kłosów. Wczesnym rankiem wezwał do siebie owego draba o gigantycznych dłoniach.

– Hans... – wycedził nieco zmieszany, bo wstydził się przyznać do narastającego w nim ludzkiego uczucia miłości. – Pamiętasz tę dziewczkę z rynku?

– Pamiętam. Nie sposób było nie zauważyć, jakie zrobiła na tobie wrażenie.

– Muszę wiedzieć, kim ona jest!

– Ja już to wiem!

– Jak to? – zawołał zdumiony Bernard.

– Widziałem, co się z tobą dzieje! To było pewne, że Amor cię tak łatwo nie opuści! Ma na imię Culmina. Jest córką strażaka. Prowadzi dom, bo matka jej już dawno umarła.

– Jak ja mogę do niej dotrzeć?

– Chyba żartujesz? – zarechotał drab. – Jedno twoje słowo, a na tych rączkach – tu wskazał swoje łapska. – Dostarczę ci oblubienicę!

– Nie! – Szumborski był wściekły. – Nie chcę brać jej gwałtem! Pragnę, by... by mnie pokochała...

– No to przysyłaj jej wymyślne podarki! Kobiety są na nie zawsze bardzo łase.

Bernard, który w swoim charakterze nie miał nic subtelnego i dobrego, nie znalazł innego sposobu na oblaskawienie ukochanej panny. Przesyłał więc jej piękne i kosztowne prezenty, które Culmina z ukontentowaniem przyjmowała. Bernard przestał pojawiać się na rynku. Całkowicie zaabsorbowany żarliwym uczuciem do pięknej chełmnianki obmyślał nieustannie, co jeszcze ofiarować oblubienicy... Zupełnie nie obchodziło go to, że wszystkie podarunki pochodziły z rabunku. Kiedy uznał, że już wystarczająco oblaskawił wybranek swego serca, zaproponował jej przez zaufanego człowieka schadzkę. Przystała na to z ochotą. Gdy Bernard znowu ją zobaczył, zdawała się jeszcze piękniejsza. Jej oczy przy blasku księżyca lśniły niczym gwiazdy, z malinowych ust wypłynął słowiczy głos, a Bernard wychrypiał:

– Szaleję za tobą, Culmino, zostań moją żoną!

– Nie tak szybko mój panie – zaszczebotała. – Ty, krzyżacki najemnik chcesz mieć za żonę Polkę?

– Choćbyś była z piekła rodem, chcę byś była moją!

– Rozważę twoją propozycję, ale rozmowa nasza musi potoczyć się swobodnie. Tutaj może nas ktoś usłyszeć, a poza tym zimno mi, choć jestem ubrana w przysłane przez ciebie w darze piękne korzno obszyte futrem. Mamy przecież styczeń!

– O ukochana! O niczym innym nie marzę, jak być z tobą w ciepłej izbie i przy blasku płomienia patrzeć na ciebie! Przyjdiesz jutro wieczorem do mojej baszty?

– Tak – krótko odrzekła Culmina i już jej nie było.

Po bezsennie spędzonej nocy, Bernard zaczął przygotowywać się na przyjęcie ukochanej. Na stole nie zabrakło najwykwintniejszych potraw. Gdy wszystko było już gotowe, odprawił służbę i czekał... Wreszcie usłyszał na krętych schodach lekkie stąpanie drobnych kroków, a potem – stuk-puk. Wyglądała olśniewająco.

– Czarodziejko ty moja – Bernard nie mógł opanować drżenia głosu. I już chciał wziąć ją w swoje ramiona, gdy Culmina lekko go odtrącając, rzekła:

– Chcesz mnie poślubić, ale nie znasz polskich zwyczajów. Przynoszę ci gości-niec, czyli podarunek z podróży. Wprawdzie ja nigdzie nie wyjeżdżałam, ale uważam, że moja droga do miejsca, gdzie teraz jestem była bardzo długa. Zrobiłam dla ciebie nalewkę z malin, bo do tych leśnych owoców porównałeś moje usta.

Wypij ją, byś mógł się potem przekonać co smaczniejsze...

– Ależ najukochańsza moja, ja już to wiem!

– Nie możesz odmówić, bo mnie obrazisz!

– No dobrze, już dobrze – Bernard szybko przechylił przyniesioną przez Culminę butelkę i jej zawartość wypił jednym tchem. Gdy pokazał opróżnione naczynie wyszeptał:

– A teraz usta...

– Nie – głos dziewczyny stracił dotychczasową łagodność. – Ust nie będzie!

– Jak to?

– A tak, Bernardzie i już nie będzie. Przyniesiona przeze mnie nalewka zawierała truciznę. Oto nadeszła twoja ostatnia godzina!

Oczy Bernarda stały się wylupiaste, a on sam zdążył jeszcze wychrypieć:

– Służba...

– Nikt ciebie nie usłyszy – mówiła Culmina spokojnie. – A wiesz dlaczego to robiłam? I nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej. – Bo przez lata gnębiłeś Polaków, bo ich upokarzałeś, lżyłeś, skazywałeś na śmierć, jak mojego ukochanego wuja Michała Segemundę. Myślałeś, że twoje podarunki robią na mnie wrażenie?

Wiem, że pochodzą z grabieży i oddam je poszkodowanym przez ciebie.

Mówiła jeszcze długo wiedząc, że Bernard już jej nie słyszy. Nagle wstała, chwyciła leżące przy palenisku polano, przyłożyła je do ognia i rzuciła na środek izby.

Ogień szybko zaczął się rozprzestrzeniać.

– Bernardzie, ja dumna Polka, żegnam cię!

A działo się to w styczniową noc roku Pańskiego 1470. Odtąd w jednej z baszt, zwanej Prochową, a znajdującej się w obrębie chełmińskich murów obronnych, pokutuje dusza nieszczęsnego rycerza, który myślał, że za klejnoty i stroje kupi miłość dumnej chełmianki. ♦



Duch Szumborskiego w baszcie prochowej,

za podłe czyny wieki pokutuje,

Gnębił Polaków, lżył ich i mordował, a teraz jęczy:

Kto mnie pożałuje?

Gnębiłbyś nadal ten ludek pocziwy,

gdyby ci miłość myśli nie zmąciła,

Piękna Culmina dała ci nalewkę i za wszystkie krzywdy

tobie odpłaciła!



CHEŁMŻA

O GLINIANYM KUBECZKU Z CHEŁMŻY

Jak ja nienawidzę tego miasta! – takie słowa powtarzał codziennie jeden z budowniczych katedralnej wieży w Chełmży. I choć nie zawsze w czystym brzmieniu docierały one do przechodzących ulicą chełmżan, wszyscy dobrze je znali. Wiedzano też, jakie są powody wściekłości budowniczego.

Zaczął się wszystko od wydarzeń, jakie miały miejsce w 1688 roku w Toruniu, dokąd na procesję Bożego Ciała przybył biskup chełmżyński Jan Kazimierz Opaliński. Wtedy, mieszkający w tym mieście luteranie napadli na biskupi orszak. Skandal był niebywały, rozprawiano o nim w całej Rzeczypospolitej, a sprawa dotarła nawet do króla Jana III Sobieskiego. Udało się jednak osiągnąć porozumienie. Władze Torunia zadeklarowały, że przysła do Chełmży kilku murarzy, którzy dokończą budowę drugiej katedralnej wieży. Budowniczych wybrano losowo spośród tych, którzy nie mieli rodziny. I w taki oto sposób znalazł się w Chełmży ów Zbych, który już czwarty rok patrzył z góry na znienawidzone miasto.

Nie miał żony, ale miał ukochaną Gildę, z którą mógł spotykać się tylko raz w tygodniu, w niedzielę. Przez wszystkie dni tęsknił do niej okrutnie,